

DWUGŁOS O „TERRORYSTACH”

Nigdzie?

Nie wiem, czy jest to sztuka o przemocy, jak napisano w pierwszych recenzjach, mnie w każdym razie zafascynował inny wątek, mianowicie problem braku szczerości między ludźmi uwikłanymi w walkę ideologiczną. Od pierwszych dialogów, które padają ze sceny, autentyczność, głoszonych przez nich idei staje się mocno wątpliwa. Dramat został napisany w taki sposób, że każdy z jego bohaterów jest nosicielem pewnej prawdy, którą poprzez swe prezentowane przed publicznością działania, stopniowo demaskuje. Najlepiej widać to na przykładzie głównej postaci sztuki, Numeru Jeden. Numer Jeden w rozmowie z dziennikarką dosłownie zdejmując maskę, co jednak nie oznacza, by całkiem odsłonił swą prawdziwą twarz. Powie tylko to, co okazać się może pomocne dla zwycięstwa rewolucji, interlokutorka potraktowana zostanie instrumentalnie, jako medium, za pomocą którego pewne hasła głoszone przez wodza „pójdą” w świat. Ona sama przygotowała się do tego interview świetnie; wiedziała o swym rozmówcy prawie wszystko: że usiłował wielokrotnie zgładzić swego poprzednika na stanowisku przywódcy ludu, że używa do walki nieletnich chłopców, że jest bezwzględny i okrutny. Więcej, ona już nie

wątpiła nawet, że po przejęciu władzy ów obrońca ucisnionych powoła wszystkich grzechy tyrańcy, którego obali. Nie podejrzewała tylko, że ona sama będzie jedną z pierwszych jego ofiar.

Numer Jeden też wie o dziennikarce niemało, już po wszystkim, kiedy romantyczny i naiwny Numer Siedem nie potrafi zrozumieć motywów tej zbrodni, on usiłuje go przekonać, przedstawiając reporterkę jako zawodową opisywaczkę rewolucji, lubiącą wahać proch i krew. Zabijanie ludzi, to dla niej niezwykle atrakcyjny temat. Jej drapieżne, pozornie bezkompromisowe, a w istocie pełne hipokryzji wywiady, uwielbia mieszczański czytelnik w krajach, którym rewolucja na razie nie zagraża. Nie można przecież powiedzieć, że Numer Jeden mówi kłamstwa.

Wreszcie sam Numer Siedem, prymus rewolucji z zadatkami na tegoż zamordystę. We wszystkich rewolucjach świata występują tacy zapaleńcy, najbardziej oddani sprawie, najbardziej przekonani o swych racjach i przez to najbardziej groźni. Zasłепieni, dają, choćby po trupach, tylko w jednym kierunku, wielka idea usprawiedliwia na wszystko, teraz i potem. Będą wspinałomyślni i tolerancyjni, ale tylko wobec takich samych jak oni, ludzie o odmiennych nieco poglądach znajdują w nich śmiertelnych wrogów.

I trzecia ważna postać — minister, zbłaźniony, cyniczny polityk (może politykier?), ten zna wszystkie tajemnice świata, skoro nie wie-

rzy w nic, pozwala „używać się” także do celów, w których prawdziwość powątpiewa. On pamięta jeszcze doskonale, że tyran, którego teraz chce zniszczyć, obejmował władzę w podobnych okolicznościach, tak samo występował w imię sprawiedliwości, równości i szczęścia powszechnego. Na razie minister pełni doskonale dwie role, służy równocześnie staremu reżimowi i nowemu.

W tym całym towarzystwie człowiekiem najbardziej prostołiniowym jest agent ochrony Numeru Jeden. Wykonuje beznamytnie swe powinności, wie, kiedy pociągnąć za spust rewolweru. Milczy. Robi swoje.

Wszyscy pozostali pokazani są jakby w dwóch wymiarach — w płaszczyźnie politycznej i etnicznej. Nie Iredyński odkrył, iż między tymi dwiema stronami każdej działalności publicznej występują sprzeczności. W „Terrorystach” zostały one jednak doprowadzone do skrajności, stanowią syndrom nie do rozwikłania.

Jest to kolejny już z serii utworów — również scenicznych — przejaw zwątpienia w nośność pewnych hasel od wieku XVIII, reprodukowanych na transparentach marszerujących po władzę. Sama sprawiedliwość (społeczna, dodaje się najczęściej) nie może wypełnić programu naprawy świata, bo sprawiedliwość — może być też użyta przeciwko komuś. Wiele krwi przelemano za sprawiedliwość i w imię sprawiedliwości. Rewolucja, u której początku dostrzega się, jak w „Terrorystach”, brak idei większej

niż tylko zemsta i chęć przejęcia władzy, taka rewolucja skazana jest na brak autentyzmu także po zwycięstwie.

Pozostaje tylko pytanie, dlaczego sztuka pt. „Terrorysty”, wyreżyserowana przez Jana Bratkowskiego w warszawskim Teatrze Polskim mimo tylu zalet tekstu, nieco mniej jednak rozczerowała? Otóż trudno oprzeć się wrażeniu, że na scenie oglądamy coś więcej niż tylko dramat Iredyńskiego. Brawa często przerywają akcję dziejącą się przecież nigdzie. Chcę być dobrze zrozumiany, mnie to nie oburza, jako widz nie czuję się jednak najświetniej w sytuacji, która następnie recenzenci opisują z zachwytem: „publiczność i wykonawcy bawili się świetnie”. Od razu pachnie mi to teatrem mieszczańskim. Na razie piszę nie o fakcie, lecz o pewnym niebezpieczeństwie, jakie grozi każdemu teatrowi i każdemu przedstawieniu, usiłującemu dopasować się do czasu teraźniejszego. W tym wypadku też mam pretensje do niektórych aktorów, że za bardzo chcieli się przypodobać publiczności, jakby dowartościować „grypsem” sztukę, która takiego dowartościowania wcale nie potrzebuje.

Paradoksalne, ta skaza przedstawienia, dodaje tekstowi Iredyńskiego jakby dodatkowego wymiaru. Jeśli potraktować „Terrorystów” jako rzecz o braku autentyzmu...

ZDZISŁAW PIETRASIK

11.11.1982.